

TOŻSAMOŚĆ BOURNE'A

Kilka tygodni temu, krążąc po bibliotece i szukając nadającej się na projekt książki o charakterystyce kryminalnej, wpadła mi w ręce pierwsza część trylogii Roberta Ludluma o eksagencie CIA Jasonie Bourne. Nie jest tajemnicą, że uwielbiam kryminały, więc bez wachania wybrałam tę książkę, jako przedmiot mojego projektu. Nie przepadam za Mattem Damonem, filmowym odtwórcą głównego bohatera, lecz w tej roli według mnie spisał się świetnie.

Nie bez powodu zaczęłam swój wpis od słów “kilka tygodni temu”. Ledwie czterystustronicową powieść czytałam z długimi przerwami, bo nie była w stanie wciągnąć mnie od pierwszego do ostatniego zdania, co zdarza się wyjątkowo rzadko. Książkę Ludluma z filmem w reżyserii Douga Limana łączy imię i nazwisko głównego bohatera, powiązania z CIA i postać Marie. Poza tym podobnie jak w powieści, w adaptacji Bourne jest zagubionym mężczyzną bez pamięci o wyjątkowych umiejętnościach. Na tym kończą się podobieństwa, a zaczynają dwie skrajnie różne historie.

W filmie Jasona ściga cała Centralna Agencja Wywiadowcza, która chce pozbyć się wyszkolonego zabójcy, dokonującego morderstwa z dyrektywy rządu USA. Po tym, jak rozłożył ważną operację był tylko kolejnym pionkiem do usunięcia. W książce największy przeciwnik Bourne'a to niejaki Carlos - człowiek widmo, mający ogromne wpływy, guru świata przestępczego. Jason, zanim stracił pamięć, realizował misterną prowokację, której celem miało być schwywanie i wyeliminowanie Carlosa.

Ludlum kapitalnie opisuje ryzykowne eskapady Bourne'a, tka sieć powiązań, krok po kroku prowadzi czytelnika do rozwiązania zagadki. W książce znajdziecie rozwinięcie tego, do czego zdolny jest super Bourne. Dwugodzinny spektakl Limana nie był w stanie aż tak wiele pokazać.

Najważniejszym jednak elementem, który przesądził o wyższości filmu nad książką jest kompletnie nietrafiony wątek Marie St. Jacques. Autor stworzył tą postać jako kanadyjską, rządową ekonomistkę, piękność równie inteligentną co sam Jason Bourne. Wierna muza, zawsze u boku swojego rycerza, gotowa na każde poświęcenie, zostawiającą swoje dostatnie, ułożone życie bez najmniejszych oporów. Byłam zdegustowana wieloma fragmentami, kiedy Ludlum opisywał ich romans, jak w taniej komedii romantycznej:

“Ona popatrzyła w jego oczy, on powiedział że ją kocha. Leżeli wtuleni, próbując na chwilę zapomnieć o szaleństwie czającym się poza bezpiecznym pokojem. Nie mogła pozwolić, żeby ją opuścił”- itp. itd.

Naprawdę nie sądziłam, że można aż tak źle przedstawić wątek romantyczny w szpiegowskiej powieści. Jakie to cliwe i odrzucające zrazem. Oczywiście piękna, mądra, wierna. Nierealna. Marie Kreutz – bo tak została przechrzczona przez reżysera Marie St. Jacques - w scenariuszu Gilroy'a to średnio urodziwa Niemka bez przyszłości, przypadkowa dziewczyna z ulicy, która nie potrafiła odnaleźć się w otaczającej ją rzeczywistości. Prowadząca koczowniczy tryb życia, bez jakichkolwiek zobowiązań czy trwałych relacji przyjmuje propozycję Bourne'a, w końcu nie ma nic do stracenia. Coraz bardziej angażuje się w związek z agentem, bo nareszcie czuje się komuś potrzebna, niezbędna do funkcjonowania.

To, że się w sobie zakochali było naturalne i oczywiste dla widza, dlatego Marie i Jason nie musieli co 5 minut wyznawać sobie miłości, byśmy o tym wiedzieli.

Scena w zapuszczonym paryskim motelu, najlepsza romantyczna scena w filmie sensacyjnym (moim skromnym zdaniem), to dzika eksplozja namiętności i potrzeby skonsumowania znajomości. Tyle i aż tyle.

Filmowa "Tożsamość Bourne'a" słusznie skupia się na walce o przetrwanie i o pamięć. Romans to dodatek, który przedstawiony skromnie i minimalnie, jest jak wisienka na torcie przedstawionej intrygi. W książce to patetyczne kiczowate love story przeszkadzające w oglądaniu poszczególnych fragmentów układanki. W moich oczach takie fabularne rozwiązania autora to istna katastrofa, znacząco obniżająca poziom powieści. Mimo to dotrwałam do jej końca i mogę spokojnie odrzucać argumenty zbulwersowanych fanów Ludluma, którzy lubią często manifestować "niezgodność treści filmu z książką".

Wybieram ekranizację tej książki. Moim zdaniem Jason Bourne został uratowany przez filmowców. Dzięki wizji twórców jego męskość, urok i charakter nabrały nowego wymiaru, którego książka mieć nie mogła z tak absurdalnie przedstawionym romantyzmem. Poza tym została napisana zbyt chaotycznie, a jednocześnie było w niej za mało akcji. Nie mam nawet ochoty sięgać po "Krucjatę". Jeśli znów najdzie mnie ochota na Bourne'a sięgnę po wysłużone wydanie DVD, by jeszcze raz się przekonać, że filmowcy stanęli na wysokości zadania.